NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Presumerata w Polsce: Kwartalnie 98·80 Marek, Półrocznie 199·60 Mk. Rocznie 399·20 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80. za wiersz nonparelowy jednoszpaltowy 4 Mp. za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz. Piotrkowska 81.

Opłata pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 8 Marek.

Rok XVII. Kraków, 18 września 1920. Nr. 39.

Obywatelski Komitet Wykonawczy O. P. w Warszawie



Jenerał Haller zwiedza biura O. K. W. O. P.

Pożyczka dobrowolna a przymusowa.

Ekspozytura Urzędu Propagandy Pożyczki Państwowej w Krakowie podaje do powszechnej wiadomości, że na podstawie ustawy sejmowej z dnia 16 lipca b. r. zostanie przeprowadzona pożyczka przymusowa, która rozpocznie się zaraz po zakończeniu pożyczki dobrowolnej t.j. w październiku b. r. Ministerstwo Skarbu ogłosiło już wysokość obciążenia obywateli pożyczką przymusową podając dwie taryfy, jedną dla obliczenia pożyczki przymusowej na podstawie wartości majątku, a drugą na podstawie dochodu rocznego. Kto posiada majątek ruchomy lub nieruchomy, wartości ponad 36.000 Mrp., ten zostanie pociągnięty do pożyczki przymusowej. **Wartość majątku zostanie obliczona według wartości obecnej.**

Pożyczka przymusowa jest rentą państwową, której termin zwrotu nie jest bliżej określony, jest zatem rentą wieczną, a procent od niej wynosi 3 od sta.

Kto chce się uwolnić od pożyczki przymusowej, winien natychmiast złożyć odpowiednią kwotę dobrowolnie na pożyczkę długoterminową, gdyż na mocy ustawy z dnia 27 lutego b. r. pożyczka długoterminowa uwalnia od pożyczki przymusowej. Pożyczka długoterminowa jest znacznie korzystniejsza niż pożyczka przymusowa, gdyż przynosić będzie 5% i będzie zwrotna w ciągu 45 lat, a nadto przy wprowadzeniu złotych polskich będzie liczona o 10% wyżej niż będące w obiegu banknoty markowe.

Termin zakończenia subskrypcyi długoterminowej wyznaczyło Ministerstwo Skarbu na dzień 30 września b. r. i zapowiedziało, że przedłużenie terminu tego nie jest przewidziane.

Ekspozytura Urzędu Propagandy Pożyczki państwowej w Krakowie zwraca uwagę ogółu na korzyść płynącą z pożyczki długoterminowej w stosunku do mającej niebawem nastąpić pożyczki przymusowej. Wszelkich wyjaśnień udziela Ekspozytura ustnie i pisemnie w swoim lokalu Rynek gł. 6. w godzinach urzędowych od 11 do 1 i od 4 do 5.

Dyrektor:
Wincenty Sikora.



Obywatelski Komitet Wykonawczy O. P. w Warszawie: Rada Nadzorcza i redakcya „Strażnicy".

Obywatelski Komitet Wykonawczy Obrony Państwa w Warszawie.

Z inicjatywy Pana Marszałka Sejmu, przy współpracy przedstawicieli Rządu oraz 216 organizacyj społecznych w początkach lipca r. b. zawiązał się w Warszawie pod przewodnictwem generała Hallera Obywatelski Komitet Wykonawczy Obrony Państwa.

Celem Komitetu było organizowanie pomocy społeczeństwa dla władz przy formowaniu armii ochotniczej, propagowanie idei A. O., opieka nad żołnierzem, spółdziałanie przy zaopatrywaniu wojska we wszelkie niezbędne środki gospodarcze, skoordynowanie akcyi wszystkich instytucyj społecznych, działających w celach obrony Państwa, wreszcie utrzymanie ścisłej łączności społeczeństwa z żołnierzem na froncie.

Dla osiągnięcia powyższych zadań O. K. W. O. P. powołał do życia szereg Sekcyj, a mianowicie: Rejestracyi Sił Społecznych, Propagandy, Finansową, Kontroli, Gospodarczą, Opieki Moralnej i Materyal-



Obywatelski Komitet Wykonawczy O. P. w Warszawie: Zbiórka gazet na ulicy.

nej nad żołnierzem, opieki nad rodziną żołnierza i uchodźcami.

Niepodobna w krótkim artykule dokładnie zdać sprawę z całkowitej i bardzo rozległej działalności O. K. W. O. P. Z konieczności zatem musimy poprzestać raczej na pobieżnym przeglądzie dokonanej pracy.

Z chwilą rzucenia hasła „Wszystko dla frontu, wszyscy na front", Sekcya Propagandy, kierowana przez pp. X. prałata Około-Kułaka, Dra K. Dłuskiego i J. Sosnowskiego, podjęła energiczną akcyę zarówno w Warszawie, jak i na prowincyi na rzecz werbunku. Około 100 mówców nawoływało do wojska, z górą 1 000.000 odezw i druków rozesłano po kraju. 100 000 ochotników stanęło wkrótce w szeregach, nie licząc paruset tysięcy sił pomocniczych,

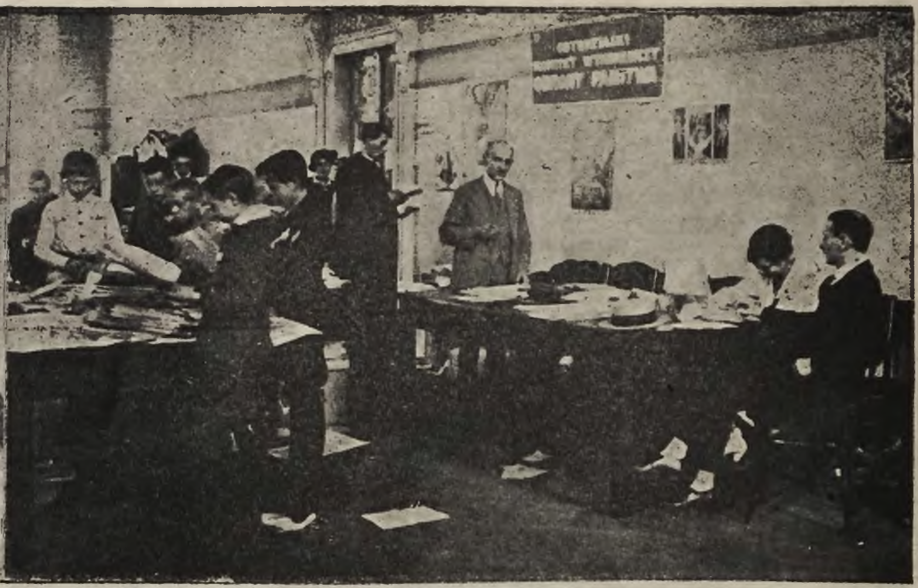




Obywatelski Komitet Wykonawczy O. P. w Warszawie:
Schronisko dla żołnierzy „Reduta" pod egidą Centr. Prop. Zw. Art. Przygotowanie posyłek dla żołnierzy w Sekcyi gospodarczej.



Ekspedycya posyłek na front.



Obywatelski Komitet Wykonawczy O. P. w Warszawie: Ekspedycya odezw i gazet na front.

które zgłosiły swój udział w obronie państwa do pracy pozafrontowej.

Jednocześnie Sekcya Propagandy zorganizowała jednominutowe przemówienia w teatrach, kinematografach i na placach publicznych, celem budzenia patryotyzmu i ofiarności. I oto w ciągu trzech tygodni z drobnych ofiar, jakie po przemówieniach tych składano na tacę, uzbierało się niespełna 350 000 marek.

Uznając konieczność stałego oddziaływania na masy za pomocą drukowanego słowa, Sekcya Propagandy przy współpracy Centralnego Komitetu Propagandy Związków Artystycznych podjęła wydawnictwo pisma nieznanego u nas typu dziennika-plakatu p. t. „STRAŻNICA“, który codzień jest rozlepiany w miejscach publicznych, a zwiększający się z dnia na dzień nakład, najlepiej dowodzi potrzeby takiego wydawnictwa.

Sekcya Gospodarcza, kierowana do niedawna przez p. S. Nowickiego, a obecnie przez p. A. Hersego, w krótkim czasie dostarczyła całkowitego ekwipunku dla 6 000 żołnierzy i nadal intensywnie pracuje w tym kierunku. Sekcya Rejestracyi sił społecznych, prowadzona przez p. Olszowską zarejestrowała 216 instytucyi, liczących z górą 100 000 członków i wydała 1700 odznak spełnionego obowiązku obywatelskiego. Sekcya Opieki Moralnej i Materyalnej nad żołnierzem zorganizowała stałe dyżury informacyjne na dworcach i prowadzi dział posyłek indywidualnych, zawierających najniezbędniejsze przedmioty codziennego użytku dla żołnierza, które codzień są wysyłane na front.

O rozmiarach całej tej rozległej i skomplikowanej pracy można będzie mówić dopiero wtedy, gdy czas pozwoli opracować dokładne sprawozdania, dziś bowiem nawał bieżącej roboty, nie pozwala na to.

Ponieważ terenem działalności O. K. W. O. P. jest całe państwo polskie, więc też we wszystkich większych miastach funkcyonują Komity miejscowe, organizowane przez specyalnych pełnomocników O. K. W., pozostających pod kierownictwem p. Kowerskiego, generalnego sekretarza O. K. W. O. P.

Dotychczas dokonaliśmy połowę pracy — wróg jest odparty, ale nie rozbity doszczętnie. Podobnie jak wojsko, nie może jeszcze spocząć na laurach swoich zwycięstw, tak i społeczeństwu polskiemu nie wolno ustać w wytężonej pracy i ofiarności dla żołnierza, własnemi piersiami broniącego wolności Ojczyzny i krwią własną znaczącego drogi swego zwycięskiego pochodu i bohaterskich walk.

Niechaj wszyscy obywatele polscy mężczyźni, kobiety, dzieci, jak w chwili niebezpieczeństwa, zgodnie pracują nadal, niechaj wytrwale niosą swój trud i swoje mienie w imię umiłowania Ojczyzny, a tem najbardziej przyczynią się do zwycięstwa wojsk polskich, które przyniesie nam i narodom świata tak wielce pożądany i oczekiwany pokój.



Obywatelski Komitet Wykonawczy O. P. w Warszawie: Członkowie Komitetu pod przewodnictwem jenerała Hallera.

Koronacya cudownego obrazu Matki Boskiej w Zawadzie koło Dębicy.

Cicha i spokojna wioska Zawada koło Dębicy, była w dniu 8 września b. r. widownią podniosłej uroczystości. Odbyła się tutaj koronacya cudownego obrazu Matki Boskiej, do której tronu spieszyły, jako do Królowej Korony Polskiej, od wieków tłumy pobożnych, aby tam szukać pokrzepienia i ukojenia, dziękować za łaski otrzymane i prosić o nowe.



Obywatelski Komitet Wykonawczy O. P. w Warszawie: Mówcy jednominutowi, kwestarki i kontrolorzy.



Koronacya cudownego obrazu Matki Boskiej w Zawadzie koło Dębicy:
Prowizoryczny ołtarz z cudownym obrazem, przy którym odbył się akt koronacyjny.

Jak stwierdzają kroniki, obraz Matki Boskiej w Zawadzie przez setki lat stanowił cel pielgrzymek okolicznej ludności i otaczała go opieką rodzina Ligęzów, dawnych tutejszych właścicieli, którzy pierwotnie osadzili tutaj OO. Augustyanów, celem spełnienia posług duchowych. W roku 1791 aktywowały władze kościelne w Zawadzie parafię.

Z roku na rok rosła cześć, jaką lud sławił cudowny obraz, łaski za przyczyną Matki Boskiej uzyskane stawały się coraz częstsze, napływały też coraz liczniejsze rzesze pobożnych z bliska i z daleka. Obraz, malowany na desce na wzór słynnego obrazu Matki Boskiej Śnieżnej w bazylice Santa Maria Maggiore w Rzymie zdobiły cenne wota, które padły ofiarą łupiestwa Austryaków w epoce józefińskiej. Zdarto nawet srebrną sukienkę, zdobiącą postać Bogarodzicy. Choć ograbiona, nie przestała Ona królować, a wierny lud garnął się coraz liczniej pod Jej opiekuńcze skrzydła i odchodził pocieszony od stóp Jej tronu. Ogólne też było życzenie, aby dla zamanifestowania czci i uwielbienia dla Pocieszycielki utrapionych, doprowadzić do skutku koronacyę Jej cudownego obrazu.

Życzenia te uwieńczył pomyślny skutek dzięki niestrudzonym zabiegom obecnego proboszcza, X. kanonika Władysława Kopernickiego, któremu należy zawdzięczać całą sprawę doprowadzenia sprawy do pomyślnego rezultatu.

W r. 1913 zezwoliła Stolica Apostolska na dokonanie aktu koronacyi, niestety, z powodu wypadków wojennych nie mogło się naraz spełnić gorące pragnienie ludu.

W czasie wojny była Zawada niejednokrotnie narażona na poważne niebezpieczeństwo, czuwała przecież nad nią Królowa, która tutaj obrała sobie stolicę. Podczas najgorętszych walk, jakie tutaj staczano, nie zginął ani jeden z parafianin, na jednym tylko domu zapalił się dach od nieprzyjacielskiego pocisku. Spłonęła doszczętnie dawna rezydencya Ligęzów, dziś własność hr. Raczyńskich, podpalona złośliwie przez ustępujących Moskali. Kościół sam i cudowny obraz narażone też były poważnie. W czasie jednej z potyczek, granat skierowany wprost na kościół, utkwił w cudowny wprost sposób w drzewie akacyi, gdzie do dziś się znajduje, jako pamiątka tych strasznych chwil.

Gdy w r. 1914 armia Dankla cofała się z pod Kraśnika a za nią postępowały barbarzyńskie bandy, ślubował proboszcz wraz z całą parafią, że jeśli im Matka Boska pozwoli wyjść cało z tych opresyi, jakie ich czekają, dołożą starań, aby uroczystość koronacyi wypadła jak najświetniej.

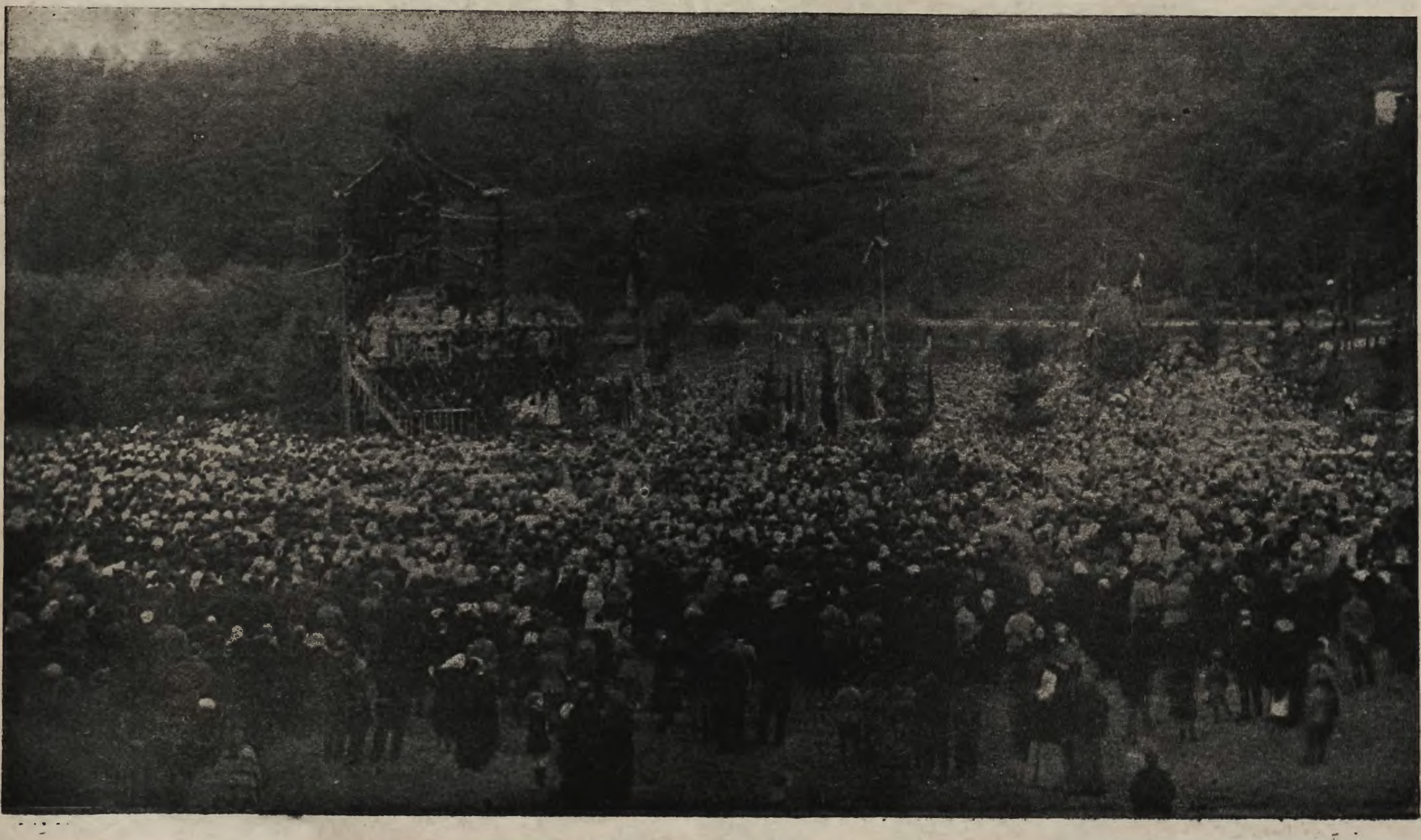
I doczekali się tej pożądanej chwili i spełnienia ślubu. Że koronacyę można było pomimo tak trudnych warunków, w jakich żyjemy obecnie, do skutku doprowadzić, to znów zasługa proboszcza, który oddanie tego hołdu Królowej Korony Polskiej obrał sobie za cel życia.

Rojno i gwarno było w Zawadzie w dniu 8 września. Zebrały się kilkudziesięciotysięczne tłumy pobożnych, liczny zastęp duchowieństwa z biskupami: tarnowskim Leonem Wałęgą, sandomierskim Ryxem, sufraganami Nowakiem z Krakowa i Fiszerem z Przemyśla, infułatem Chendyńskim z Tarnowa, prowincyałem OO. Redemptorystów Pazdurem na czele, przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych i t. d.

W przeddzień uroczystości przeniesiono cudowny obraz do prowizorycznego ołtarza na błoniu, gdzie się w następny dzień Narodzenia N. M. P. odbył uroczysty akt koronacyi, którego dopełnił X. biskup Wałęga. Z kościoła parafialnego wyszła uroczysta procesya wraz z biskupami, klerem i dygnitarzami z kilkudziesięciotysięcznym tłumem na miejsce koronacyjne, gdzie po przemówieniu miejscowego proboszcza, a następnie kazaniu, wygłoszonem przez O. Łubieńskiego, Redemptorystę z Krakowa i X. biskupa Fiszera, przystąpiono do uroczystego aktu koronacyjnego; po dokonaniu koronacyi w procesyi powrotnej do kościoła nieśli obraz cudowny księża i obywatele, poczem umieszczono go w ołtarzu.

Władze cywilne reprezentował starosta z Ropczyc, wojskowość generał Piasecki z Krakowa i sztab 9 pułku ułanów z Dębicy. Honorową służbę podczas aktu koronacyi pełnił szwadron ułanów tegoż pułku z muzyką.

Podczas koronacyi oddali Arcypasterze pod opiekę Królowej kraj i lud, bardziej niż kiedykolwiek, w obecnych czasach jej pieczy i opieki potrzebujący. Na powagę chwili zwrócili też uwagę kapłani w swych kazaniach, wygłoszonych w ciągu uroczystości, która na długie lata zostanie w pamięci uczestników, a stanowi żywy dowód czci, jaką naród polski otacza swą Królowę.



Koronacya cudownego obrazu Matki Boskiej w Zawadzie koło Dębicy: Akt koronacyi.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

I.

Nie rozebrała się jeszcze, obawiając się, że dysputa między ojcem a córką przeciągnie się i przybierze ostrzejszą formę. Chciała być w pogotowiu, a teraz cisza, która zaległa na dole zaniepokoiła ją, przyszła więc zobaczyć, co robi Rachela.

Panienko?

— Co chcesz Różo?

— Dlaczego się panienka tak martwi?

— Mam swoje powody, Różo, wiesz o nich — szepnęła młoda dziewczyna.

— To prawda; ale panienka jest tak młoda, piękna, a ja tak panienkę kocham!

— Wszystko to prowadzi do nieszczęścia, Różo.

— Niech Bóg cię strzeże biedne dziecko — westchnęła stara, żegnając się nabożnie.

Rachela spojrzała na nią wylęknionemi oczami.

— Dlaczego nie śpisz jeszcze Różo, taka późna godzina!

— Byłam niespokojna o ciebie.

— Co robić? Wiesz, że tak jest zawsze.

— Ojciec był dla ciebie niedobry?

— Nie! Biedny człowiek! Przekonanie, że kocham Lambertini'ego doprowadza go do rozpaczy.

— A kogóż on chce, żebyś ty kochała?

— Innego — odparła krótko Rachela, bo nie chciała mówić Róży o Marensie Hennerze.

— Nikt nie może dorównać hrabiemu Lambertini. Jest piękny, młody, bogaty i dobry. A przytem taki rozkochany w tobie, moje dziecko.

— Czy on kocha mnie naprawdę? — szepnęła Rachela i błysk niepewności i smutku przemknął w jej oczach.

— Panienka o tem wątpi?

— Tak... często...

— On żyje tylko tobą!

— Podobno ma teraz kochankę?

— Kto! kto? To potwarz piekielna!

— Ojciec mi o tem mówił, Różo.

— Oczywiście... A któż ma być ta kobieta?

— Jakaś hrabina, wenecyanka... bardzo piękna...

— To nieprawda; to nie może być prawdą — zawołała stara z oburzeniem.

— Miejmy nadzieję, że tak jest, Różo.

— Dowiem się o wszystkiem, muszę odkryć prawdę. Powtarzam, że to potwarz, dyabelska złośliwość!

— Jak ty go bronisz, Róża — uśmiechnęła się blado Rachela.

— Chciałabym cię widzieć szczęśliwą gołąbko moja.

— Przepaść nas dzieli — szepnęła Rachela rozpaczliwie.

— Miejmy w Bogu nadzieję.

Róża uważnie spojrzała na młodą dziewczynę, a widząc, że zmęczona jest i przybita, wyrzekła prośbą w głosie.

— Panienko, należy już spocząć.

— Tak, tak, Różo. — Dobrej nocy.

— Pomogę rozebrać.

— Nie, nie, nie potrzebuję nic od ciebie.

— Chciałabym cię już widzieć spoczywającą w łóżku, gołąbko. Jeżeli dziś jeszcze czuwać będziesz, rozchorujesz się na pewno. A zresztą ojciec może dojrzeć światło.

— Przymknę okiennice.

— Ależ on podpatruje pod drzwiami.

— Czy sądzisz, że przychodzi mnie szpiegować?

— Tak... czyni to każdej nocy.

— Jesteś tego pewną, Różo?

— Tak pewną, jak obecności Boga — wyrzekła poważnie Róża, żegnając się. Słyszę każdej nocy szelest w jego pokoju...

— Ja także słyszałam niekiedy ten szelest — szepnęła Rachela głęboko zamyślona.

— Czasem jest to szmer kroków przyciszonych, raz nawet dobiegł mnie głuchy łoskot upadającego ciała... Przelękłam się bardzo... on taki stary...

— I nie poszłaś zobaczyć?

— Nie śmiałam. Lękam się zawsze, że wypędzi mnie kiedy w przystępie gniewu... Więc wolę być ostrożniejszą. Słyszę często, jak wychodzi ze swojego pokoju i idzie po schodach na górę.

— Ja również. Już kilkakrotnie mówił do mnie przez drzwi zamknięte.

— Drzwi są zawsze na klucz zamknięte nieprawdaż?

— Mam zamykać się przed ojcem — zawołała Rachela, marszcząc brwi.

— On nie jest zdolny uczynić ci nic złego — odparła tajemniczo Róża... ale...

— Ale co?



Raz jeszcze dłużej niż poprzednio wzrok jej zatrzymał się na portrecie matki.

— Zdaje mi się, że często ktoś tam z nim jest w nocy — szepnęła Róża głosem cichym jak tchnienie.

— Co ty mówisz?

— Mówię, że ktoś obcy wchodzi nocą do naszego domu — odpowiedziała stara z przekonaniem.

— Słyszałaś?

— Jesteś tego pewna?

— Tak, panienko — przysiądz mogę...

— Może spałaś, Różo, może śniło ci się coś podobnego?

— Nie spałam. Słyszałem bardzo wyraźnie.

— Powiedz mi, powiedz mi wszystko.

— Bywa to w nocy... późno bardzo... koło trzeciej godziny nad ranem. Najsamprzód słychać gwizdnięcie przeciągłe i bardzo ciche...

— Boże mój — jęknęła Rachela trwożliwie.

— I znowu po przerwie drugie gwizdnięcie jeszcze przeciąglejsze — wówczas ojciec wychodzi ze swego pokoju i zdąża na schody...

— Na moje?

— Nie, na te, co prowadzą do drzwi głównych. Pomimo, iż stara się zachować wszelką ostrożność, słyszę doskonale jego kroki.

— A potem?

— Schodzi, otwiera bramę...

— Ah!

— I napowrót wraca w towarzystwie kogoś — mówiła Róża, drżąc pod wrażeniem własnych słów.

— Więc jesteś pewną, całkiem pewną?

— Tak. Słychać kroki dwóch osób.

— I któż to wchodzi do domu z moim ojcem?

— Niewiem.

— Czy to kroki ciężkie czy lekkie?

— To kroki mężczyzny, ale stąpa cicho i ostrożnie.

— Nie widziałaś go nigdy?

— Nigdy. Nazakałaś mi przecież gołąbko, nie wychodzić z mojego pokoju, bez twojego rozkazu.

— Masz słuszność. I ten człowiek... co on robi w naszym domu?

— Rozmawia z twoim ojcem.

— Słyszysz głosy?

— Zaledwie, ale słyszę jednak.

— Nie rozumiałaś nigdy o czem mówią?

— Nie. Rozmawiają zanadto cicho.

— I nigdy jeszcze nie podnosili głosu — nigdy?

— Raz jeden.

— Co mówili wówczas? — słyszałaś?

— Słyszałam głos ojca. Mówił: To było okrucieństwo! podłość. — A tamten odpowiedział: Bóg jest okrutny, a nauka jest podła.

— O Boże! — jęknęła Rachela głucho.

— Słowa te powtórzyłam sobie kilkakrotnie, aby je nie zapomnieć.

— Czy głosy rozmawiających były podrażnione?

— Były wzruszone.

— Czy ten nieznajomy długo pozostaje w naszym domu?

— Zawsze prawie godzinę. Pan nasz następnie odprowadza go do bramy, a potem wraca się położyć.

— Często człowiek ten powraca tutaj?

— Nie. Czasem cały miesiąc go niema.

— Tak?

— Ale słyszałam także jego głos kilka nocy z rzędu.

— Naprawdę?

— W październiku naprzykład, powracał prawie każdej nocy o godzinie trzeciej nad ranem. Słyszałam wówczas jak otwierali jakiś zamek, potem głębokie, ciężkie westchnienie.

— Czyje? czyje?

— Ojca panienki.

— To straszne! straszne! — szepnęła Rachela przejęta trwogą.

— Nie trzeba się lękać i mieć ufność w Bogu — rzekła Róża z namaszczeniem.

— Bóg? Bóg? Czyż on zechce mi przyjść z pomocą? — zapytała Rachela, poruszona lękiem i niepewnością.

— Przychodzi on z pomocą każdemu stworzeniu i ciebie więc obronić potrafi.

— Przeciw mojemu ojcu?

— Nie — przeciw człowiekowi, który dom ten nawiedza — odparła Róża tajemniczym głosem.

— Czy sądzisz, że on jest moim nieprzyjacielem? — zapytała ciężko Rachela.

— Jestem tego pewna!

— Co każe ci tak przypuszczać?

— Ojciec twój, moje dziecko kocha cię nad życie, a jednak okrutnym jest dla ciebie... to więc tamten... napewno tamten pcha go do tego... przeciwko tobie buntuje.

— I przeciw Ranieri Lambertini'emu — zawołała rozpaczliwie Rachela.

— Spotkam się z nim jutro.

— Tylko nie mów mu nic o tem wszystkiem — zapowiadam ci.

— Mówić mu tylko będę o tej wenecyance.

— Lecz nie mów, że ja chcę się o tem dowiedzieć — rzekła Rachela dumnym, wyniosłym głosem.

— Nie, nie! Ale ty dziecko zdegradować się musisz raz przecież — zaznaczyła z naciskiem Róża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

12 I.

— Co chcesz odparł Gawlik z pewnością siebie. — W pierwszych dniach to zgłupiałem zupełnie, ale ludzie sami pomogli mi wybrnąć z tej krętaniny. Idź ty dziś do Bizanca o tej porze, kiedy największy ruch handlowy, to zaraz cię się zapytają, czy nie masz co do sprzedania albo do kupienia.

— Co ty mówisz!

— A jakże! Teraz jak jaki żydek spyta mi się, czy chcę nabyć coś, siano, drzewo, żelazo, gwoździe, sznury, co bądź, to odrazu pytam o najniższą cenę i odrazu szukam kupca. Jak tylko znajdę kogoś, co mi da więcej, spisuję umowę kupna i odsprzedaję od ręki z zarobkiem. Ale trzeba przebiegłym być i dobrze uważać, żeby nie wpaść. Bo często te łajdaki sprzedają towar, co wcale nie istnieje, albo też kupuje się na ślepo, to co nic nie warte i może z tego być awantura. Jak taki niepewny interes przeleci przez kilka rąk i w końcu dotrze do prawdziwego nabywcy, to o ile jest silnie poszkodowany, to z tego zrobi użytek i całe towarzystwo dostanie się pod klucz.

— Bój się Boga! — załamała ręce Gawlikowa — to byś i ty mógł wpaść w taką kabałę?

— A coby nie? Tylko, że ja się już nauczyłem ostrożności i teraz nigdy nie będę operował sam, tylko ze wspólnikiem. Co dwa rozumy, to nie jeden i odpowiedzialność mniejsza, choć czasem i wspólnik wykiwa! Mnie wspólnik potrzebny, bo mało znajomości mam w lepszych sferach.

— To i ludzie z lepszej sfery takimi interesami się zajmują?

— A ty co myślałaś! Wszyscy dziś paskują! I żyd i adwokat, i urzędnik i obywatel i nafciarz. A tych nafciarzy zwłaszcza to się aż roi tu teraz. Nie mają po co wracać do kopalń, bo robota po części jeszcze wstrzymana po inwazyi ukraińskiej na wschodzie, to się także puścili na interesa. Ale ci lecą na grube i pewne pieniądze.

— No, ktoby pomyślał, ktoby pomyślał! — kiwała głową Gawlikowa. — Aż mi dziwno, że się ty tak prędko w tem rozejrzałeś...

— A ciągle miałaś mnie za niedołęgę — zaśmiał się Gawlik. — W tej ogłupiałej robocie to człowiek by prędko do reszty rozum utracił. Bo widzisz, cała rzecz w tem, żeby poczuć pieniądze. Zaraz się i humor i fantazya znajdzie jak nie przymierzając ten koń, co mu owsa podsypią. Tak było ze mną. Bylbym całkiem zdziadział w tym kieracie, a tak jeszcze ludzie ze mnie będą, zobaczysz! Dobrą myśl miałaś stara! No, ale któraż to godzina? O wpół do siódmej mam się zejść w interesie.

Spojrzał na zegarek i zawołał zdumiony:

— A to już przecież po szóstej! Cóż ten pan przyjść nie myśli?

— Po szóstej — powtórzyła Kazia ze zdumieniem i nagle jakieś złe przeczucie ogarnęło ją. Wszystkie wczorajsze niepokojące myśli uderzyły w nią, wytrącając zupełnie z równowagi.

— Po szóstej — raz jeszcze wymówiła bezradnie, patrząc na ojca.

— Słyszysz przecież — odburknął Gawlik. — Jak kto się obiecuje na piątą i to w takiej sprawie, to pilnuje godziny. Punktualność przedewszystkiem. Już ja widzę, żeby z niego dobry aferzysta nie był. Poczekam jeszcze chwilę i wychodzę. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

— Nie gorączkujcie się tak — uspokajała Gawlikowa, choć i ją niepokój zaczął potrochu dręczyć. — Mogło mu co zajść, ktoś go zatrzymał... przyjdzie jeszcze.

Ale kiedy po wyjściu Gawlik nikt jeszcze się nie zjawił, Gawlikową zaczął gniew ogarniać.

— Cóż to sobie ten twój konkurent myśli! — wybuchnęła do Kazi, siedzącej nieruchomo na kanapie. Jeszcze się z nami nie poznał i już lekceważyć zaczyna? Oh! patrzcie! Takich na kopy teraz znaleźć możesz. Cóżeście wy tam gadali ze sobą — co ci obiecywał?

— Ah! Niech mi mama da spokój! — żachnęła się niecierpliwie Kazia, bliska łez.

— Tak! Niech mi mama da spokój! — przedrzeźniała ją Gawlikowa. Ciekawam, co teraz będzie! Gotów wcale się nie pokazać i tylko ludzie nas wezmą na języki! Wikta Szulcówna pewnie już roztrąbiła po całem mieście! Na pośmiewisko nas tylko naraził, odmieniec!... Przyjęcie, zastawa, a tu kawalera niema!...

Kazia wybuchnęła płaczem i wybiegła do drugiego pokoju.

Teraz dopiero zaczęła sobie jasno zdawać sprawę z tego, co się stało. Ten obiad, wino, a potem to, co było najokropniejsze, to przyjście jej do kawalerskiego mieszkania człowieka, którego bądź co bądź znała tak mało. Jak mogła mu tak zawierzyć, zaufać! I to jej się mogło przydarzyć, jej, która była dotąd tak pewna, że samowolnie tylko losem swoim rozporządzać będzie i że nic ją spotkać w życiu nie może, coby nie było z własnej jej woli lub pragnienia!...



— Przyszłam za późno - szepnęła z niezadowoleniem. — Co teraz robić? gdzie go szukać?

Gawlikowej po pierwszym wybuchu złości żal się zrobiło Kazi, przyszła więc do niej pocieszyć ją trochę, tembardziej, że i sama uspokojenia potrzebowała, a w samotności myśli coraz nieprzyjemniejsze nawiedzać ją poczęły.

— No, Kazia, nie becz! — wyrzekła dosyć łagodnym głosem. Może nie wszystko jeszcze stracone! Musisz się z nim zobaczyć, niech się wytłómaczy. Może rzeczywiście coś się stało takiego, że przyjść nie mógł. Dziś już za późno, ale jutro staraj się z nim gdzie spotkać. Tort i babka się nie zepsują.

Na Kazię słowa matki podziałały orzeźwiająco. Otarła oczy i usiadła na łóżku, na które rzuciła się przed chwilą w napadzie wściekłej rozpaczy. Jakiś promień nadziei znowu zaświtał w jej głowie. Matka może miała słuszność. Coś przeszkodzić musiało jego przyjściu. Jutro zobaczy się z nim i cała rzecz się wyjaśni. Byleby tylko nikt się nie dowiedział o tem próżnem wyczekiwaniu, to główna rzecz.

— Czy Olearczykowa jest w kuchni? — zapytała.

— Jest — odparła Gawlikowa, zadowolona ze zmiany zaszłej w córce. — No, widzisz, przyszłaś po rozum do głowy — prawda? Nie przyszedł dziś, to przyjdzie jutro. Jak taki rozkochany w tobie, jak powiadasz, toby przecież chorągiewki nie chciał zwinąć. Tyś tam powinna najlepiej wiedzieć, jak jest między wami.

— Nie o to teraz chodzi — mruknęła niecierpliwie Kazia. — Niech mama idzie do kuchni i powie Olearczykowej, że był posłaniec z listem, że mu wypadła nagle służba na dzisiaj, rozumie mama, że będzie jutro. Gotowa ztąd zaraz polecieć do Szulców i narobić bajek. Że też mama się obejść bez tych swoich kumoszek nie może. Gdybym się dowiedziała, że ta obmierzła Wikta śmieje się ze mnie, tobym tego nie przeżyła! No! słyszy mama! Niech mama idzie i powie tak, jak mówię. I niech ją mama z kuchni wyprawi. Nie chcę, żeby mi tu się kręciła i wypatrywała.

— Dobrze, dobrze, zrobię jak chcesz — pośpieszyła z zapewnieniem Gawlikowa, nie chcąc więcej rozdrażniać Kazi.

— — — — — — — — — — —

Nazajutrz rano, Kazia po źle przespanej nocy ubrała się śpiesznie i wyszła z domu.

Matce powiedziała, że idzie po Jankę Terlecką, z którą następnie ma zamiar udać się do cukierni, gdzie ma nadzieję spotkać się z Francuzem. Inne jednak zupełnie były jej zamiary.

Znalazłszy się na ulicy, prosto pobiegła do mieszkania oficera na ulicę Radziwiłłowską.

— Może jeszcze nie wyszedł — myślała, szybko przebiegając ulicę. — Zastanę go u siebie i będę mogła bez świadków rozmówić się z nim. Ta noc niepokoju dosyć mnie już kosztowała. Niech nie myśli, że pozwolę mu w ten sposób żartować z siebie. — Zadzwoniła energicznie do mieszkania, ale nikt nie wyszedł otworzyć.

— Przyszłam zapóźno — szepnęła z niezadowoleniem. — Co teraz robić? gdzie go szukać?

Po chwili zastanowienia zeszła do stróża i siląc się na ton swobodny, zapytała o oficera.

— Panna pyta o tego Francuza, tego Duval... czy jak mu tam — odpowiedział, mierząc ją zuchwałem spojrzeniem.

— Ciągiem się ino panny zlatują. A bestya już wyfrunęła...

— Jakto? — wyrwało się niespokojnie z ust Kazi.

— A no pojechał, jeszcze wczoraj popołudniu... Sam mu kuferki do fiakra znosiłem.

— Wyjechał... ale wróci, co?...

— Gdzieby tam wracał, kiedy mieszkanie wypowiedział jeszcze od pierwszego. Co to? Nie mówił panie? A to ci numer! nabałamucił tu dosyć dziewcząt i wszystkie na lodzie zostawił. Małom się to napatrzył, jak do niego latały... Z jedną, to nawet porządna awantura była. Aże ojciec przychodził wymyślać.

Ale Kazia już nie słuchała.

Jak szalona wybiegła z bramy na ulicę, nie wiedząc, co się z nią dzieje. Otrzymana wiadomość jak obuchem uderzyła ją w głowę. Zdawało się jej, że leci w jakąś przepaść okropną, a za nią gonią okrzyki, przekleństwa i szydercze śmiechy!... Wszystko, w co dotąd wierzyła, czego pragnęła i do czego dążyła tak chciwie, zapadło się, zniszczyło, myśli jej wszystkie skłębiły się w jakiś chaos okropny, w którym nic rozróżnić nie mogła.

Nie wiedziała nawet, jakim sposobem dopadła do ławki na plantach i usunęła się na nią ciężko, palcami przyciskając rozbolałe skronie.

Z odrętwienia, w jakie zapadła, wyrwały ją głośne, szyderczo wymówione słowa:

— Co to? Zdaje mi się, że Kazi Gawlikówne coś się stało? Wygląda, jak gdyby była chora! Czyżby ją już narzeczony opuścił!?

Kazia jak pod uderzeniem bicza zadrżała całem ciałem i podniosła głowę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

17

Jednem słówkiem wykreśliła obcego człowieka z ich życia, skoncentrowała się cała w Niglu. Czuł, że wszystkie jej władze, jak strumień spływały do nowego kanału, który jej otworzył. Począł opowiadać o Egipcie i widząc jak go słucha, po raz pierwszy uczuł, jaka poważna zmiana zaszła w jego życiu i serce mu radośnie zabiło.

Przy sprzyjającej pogodzie, spokojnej, radosnej, błękitnej — powietrzu, które oswobadza ludzi z więzów depresyi i przenosi ich w świat pełen wesela, podróż poszła prędko.

Jednakże nie obeszło się bez nieprzyjemnego zdarzenia dla Armine'ów. Pomiędzy pasażerami, znajdował się pewien Lord Hayman z żoną, Nigiel ich trochę znał, a oni znali Mrs. Armine, wtedy, kiedy cały Londyn ją wielbił.

Niepodobieństwem było z nimi się nie spotkać i nie zauważyć, za każdym razem ich jakiegoś chłodnego pomieszania, okazanego nagłem zainteresowaniem dla jednostajnego horyzontu. Że nie rozumieli sytuacyi było tak widocznem, że Nigiel postanowił pewnego razu przyłapać Lorda Haymana w fumoirze i z nim się rozmówić.

— Winszuję panu, pewny jestem, winszuję — wyszeptał dżentelman z ironicznem zdumieniem — zaraz powiem mojej żonie. Nie wiedzieliśmy o niczem.

Poszedł, z dogasającym cygarem w zębach i oznajmił nowinę Lady Hayman, która następnie ukłoniła się wprawdzie Niglom, lecz uczyniła to niechętnym ruchem, oznaczającym moralne zdziwienie i potępienie.

Mrs. Armine zdawała się być zupełnie obojętną na te demonstracye, jedyną jej uwagą o tej damie było, że nie rozumie, jak może ktoś w tych czasach nosić kolor magenta w połączeniu z czerwonym, zwłaszcza jeżeli się ma cerę Lady Hayman; i jej zdziwienie na widok kombinacyi tych trzech kolorów, było tak szczere, że mogło pochodzić tylko z jej artystycznego usposobienia.

Prawdopodobnie, Haymanowie musieli się podzielić z innymi pasażerami „Hohenzollerna" wiadomością o małżeństwie Nigla, gdyż kilka osób, które mu się przypatrywały w sali jadalnej, podczas lunchu, przypatrywały się i teraz na pokładzie, lecz z trochę innym wyrazem twarzy. Obojętna ciekawość zamieniła się nawpół satyryczne zainteresowanie, z jakiem przeciętny Anglik patrzy na nowożeńców. To obserwowanie ich, gniewało Nigla i obudziło w nim wielką czułość dla żony, ugruntowaną na głębszem zrozumieniu brutalności ostracyzmu połączonego z rozgłosem, który ją w ostatnich latach otaczał. Teraz, nareszcie, miała kogoś, kto się nią opiekuje. Serce jego otoczyło ją szerokiemi skrzydłami, lecz pragnął być uwolniony od tłumu, z którego na okręcie nie mogli się wydostać. Nie rozmawiali z nikim, oprócz ze swym towarzyszem przy jedzeniu.

Doszli z nim wkrótce do dobrych podróżnych stosunków — stosunków, które po wylądowaniu nie obowiązują do niczego. Pomimo, że był ubrany jak Anglik i że wewnątrz słomianego kapelusza, który nosił na pokładzie, widniał napis „Scott", nie długo czekali, żeby się dowiedzieć, że się nazywa Machmond Barondi, że jest pochodzenia grecko egipskiego, urodzony w Aleksandryi i że to człowiek wielkiej energii i silnej woli, mający udział w wielkich interesach i prowadzący duże przedsiębiorstwa.

Mówił zawsze z wielką grzecznością, lecz mało i obojętnie, jakgdyby nie dbał, jakie wrażenie czyni na słuchaczach, a wszelkie informacye, które dawał o sobie, wynikały z przypadkowego tonu rozmowy. O wysokim stanowisku i bogactwie swego ojca, uczynił tylko lekką wzmiankę. Mówiąc zatem o swych interesach, był więcej określony, silniej indywidualny. Nigiel zgadywał, że jest zamiłowany do interesów i nie mający nic wspólnego z typowym leniwym człowiekiem Wschodu, który lubi wysiadywać na słońcu, znosić wolę Allaha i zapełniać całe lata marzeniami; że ma umysł trzeźwy i jasny i wielkie komercyjne zdolności, charakterystyczne u nowożytnych Greków. Czy posiadał też chytrość właściwą Wschodowi, tego Nigiel nie wiedział, nie mógł przejrzeć. Wszystko co Barondi mówił, czy to była mowa o irygacyi Nilu, czy o interesach bawełnianych lub cukrowych, w których był zainteresowany, było powiedziane jasno i dokładnie. Nigiel miał wrażenie, że Barondi, musiał zawsze dobrze wychodzić na wszystkiem, czego się dotknął, i że na jakimkolwiek polu działał, mógł być silnym sprzymierzeńcem i również silnym przeciwnikiem.

Okazało się, że był także zainteresowany



— Czy willa stąd daleko? — zapytała, rozglądając się w około wśród tłumu.

w sportach. Mówił z zapałem połączonym jednak ze zwykłą mu pogodną niedbałością o koniach, które hodował, o wyścigach w Aleksandryi i Kairze, na których wygrywał, o wyścigach jachtem, o polowaniach w Górnym Nilu, około Chartum, o kaczkach, gołębiach i szakalach zabitych w Fayum albo na świętym jeziorze Kurum.

Nigiel znajdował, że jest doskonałym towarzyszem, najsympatyczniejszym człowiekiem krwi wschodniej, którego kiedykolwiek znał. Mrs. Armine, odzywała się o nim powściągliwiej, nie wydawał się jej interesującym, skutkiem czego Nigel utwierdził się w przekonaniu, że Barondi nie jest człowiekiem lubiącym kobiety z wyjątkiem w godzinach spędzanych w haremie. Dla Mrs. Armine okazywał się bardzo grzecznym, lecz rozmawiając zwracał się instyktownie do Nigla, a jak ona pozostawiała ich samych przy kawie i cygarach, wydawał się Niglowi innym człowiekiem.

Jakkolwiek swoboda w sposobie bycia nigdy go nie opuszczała, był wtedy naturalniejszym, skłonnym do poufałych stosunków. Prawdopobnie miał wschodnie wyobrażenie o niższości kobiet i nie był zdolny zrozumieć, w stosunku do nich swobody i równości, jakie panują w zwyczajach i pojęciach angielskich.

Kiedy „Hohenzollern" dopływał do Aleksandryi, Barondi zeszedł na chwilę na dół, poczem powrócił w turbanie. Pożegnali się w porcie, wyrażając zwykłą w takich razach nadzieję spotkania się w przyszłości. Mrs. Armine zdawała się być radą, że się z nim rozstaje i jest sama z mężem.

— Nie zatrzymujemy się w Kairze — rzekła do niego — pragnę już być w willi Audrond. — Przenocowawszy w hotelu „Shephceard, odjechali do Luksoru, a raczej do Keneh, gdzie się wczesnym rankiem zatrzymali dla zwiedzenia świątyni Hatkor i po kilku godzinach tam spędzonych, następnym pociągiem udali się do Luksoru, dokąd przybyli w chwili, kiedy zachodzące słońce zaczynało złocić niebo i pokrywać rzekę swym blaskiem.

Mrs. Armine była zmęczona podróżą i długiemi godzinami spędzonemi w Denderah, które ją przygnębiły. Patrzała przez okno wagonu, na zielone pola „doura", na prawie nagich brunatnych ludzi, pochy ających się rytmicznie przy pracy, na dzieci jadące na osłach i na kobiety, które stały w brudnych łachmanach, trzymając ich końce w rękach. I zdawało jej się, że ciągle widzi ciemne dziedzińce mieszkania Hathor, że słyszy pisk wielkich nietoperzy, które się tam gnieździły. Kiedy pociąg się zatrzymał, powstała zwolna i przy pomocy Nigla wysiadła na peron.

— Czy willa stąd daleko? — zapytała, rozglądając się wśród tłumu przypatrujących się im Egipcyanom.

— Nie; możebyśmy tam poszli piechotą, dobrze? Oczy jego prosiły o potakującą odpowiedź i dała mu ją z dobrą wolą, która mogła być zapisaną na jej korzyść przez wynagradzającego anioła. Zaczęli więc iść w stronę willi. Przechodząc przez miasteczko, Nigel wskazywał „ciekawości", a więc sklepy starożytności, gdzie można było dostać pierścienie, naszyjniki, niebieskie i zielone „skarabensze", „sługi umarłych", skrzynki na mumie, następnie meczet, koptyjską świątynię, kawiarnię, ogród hotelu „Luksor". Ukłonił się kilku znajomym z pomiędzy maluczkich — czarnemu cyrulikowi, który się tam nazwał Mr. White (po angielsku biały), Ahri-Ahmet, Szalonej z Luksoru, która tańczyła i skakała przed Mr. Armine, wykrzykując powitania w rozmaitych językach; Hassanowi jednookiemu grajkowi napiszczałce i Hamzie, modlącemu się poganiaczowi osłów, który w zimie odbierał swym towarzyszom podróżujących milionerów, a w lecie siedział z derwiszami w ciemni meczetów.

— Wyglądasz tu u siebie, jak w Londynie — rzekła Mrs. Armine, nieokreślonym głosem.

— Dziesięć razy więcej, Ruby; i z tobą wkrótce tak będzie. Lubię tę małą miejscowość.

— Tak — po chwili dodała — czy jest tutaj dużo willi?

— Tylko dwie, na brzegu Nilu. Jedna należy do jakiegoś Niemca, a druga nasza.

— Tylko dwie, a jedna należy do Niemca — powtórzyłę w myśli.

I pomyślała o zimie.

— Jak się urządzimy, muszę wpaść do Faymu, zobaczyć jak tam roboty postępują i przygotować coś dla ciebie. Pragnąłbym jak najprędzej cię tam zabrać, ale to pustkowie i nie mogę tego zaraz uczynić. Nadto lękam się, że byłoby tobie bez wygód źle, a chciałbym żebyś się czuła szczęśliwą.

Był troskliwy niepokój w jego głosie.

— Chciałbym, żebyś polubiła Egipt — dodał jak zapalony chłopiec.

— Jestem pewna, że go polubię, Nigiel. Czy tu niema kasyna?

— Na Jowisza! nie! Coby kto z kasynem tutaj robił?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Ze względu na to, że nadużywanie polityki, może zupełnie tak samo jak nadużywanie alkoholu, mieć dla zdrowia bardzo przykre następstwa, musi kronikarz na razie zerwać z nią, a zabrać się do omawiania innych spraw.

Jak zaś należy zdrowie szanować, teraz się dopiero przekonujemy, przepłacając w aptekach lekarstwa, które dawniej były dostępne nawet dla mniej zamożnych i nie mając do tego nawet gwarancyi, że pomogą, gdyż to przeważnie surogaty. Miał zatem racyę Kochanowski, gdy śpiewał:

„Szlachetne zdrowie,
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz".

Ta zwrotka mimowoli przychodzi każdemu na myśl, kto zbliża się do drzwi „łacińskiej kuchni", z tą jedynie zmianą, że zamiast słów „jako smakujesz" dodaje „ile kosztujesz". Dziś, aby sobie pozwolić na chorowanie i leczenie się, trzeba być paskarzem lub innym milionerem, to też ludziska chorują i przenoszą się na tamten świat naturalną śmiercią, bez pomocy lekarza i apteki.

Ze względu więc na szlachetne zdrowie polityka w kąt, a na porządek dzienny zupełnie co innego.

Gdy w roku 1914 zagrażało naszemu miastu oblężenie przez Moskali, którzy nic sobie nie robiąc z zwycięskich komunikatów wojennych jenerała v Höfera, szli ciągle naprzód, spadła na Kraków jedna z plag, wprawdzie nie egipskich, lecz wojennych, ewakuacya. Tysiące ludności musiały opuścić Kraków, udając się na Zachód. „Odważniejsi", a mający na to fundusze, wyjechali dobrowolnie biedacy zostali do tego zmuszeni, choć bynajmniej nie mieli ochoty żegnać się z murami swego rodzinnego miasta. Ci pierwsi dali sobie jakoś radę za granicą, bo pieniądze to najlepszy klucz do otwierania wszelkich drzwi, — ci drudzy jednak straszne czasy przebyli na obczyźnie. Takie naprzykład baraki w Choceniu to prawdziwie tragiczny rozdział z martyrologii ludu polskiego. Pobyt tam tysiące ewakuowanych przypłaciło życiem lub zdrowiem.

Ludność zachodnich krajów monarchii austryackiej wobec naszych uchodźców zachowywała się wprost wrogo, tak, jak gdyby oni byli winni, że wojna wybuchła. Na każdym kroku dawano im do poznania, że są zupełnie niepożądanymi gośćmi. W całym naszym kraju i całem polskiem społeczeństwie oburzano się też słusznie na nieludzkość Niemców, Czechów, a nawet Węgrów, znęcających się wprost nad biedakami, których los zagnał do ich kraju. Chwila powrotu do własnego swego zamieszkania, choćby nawet zupełnie przez wojnę zniszczonego, była dla każdego z uchodźców chwilą powrotu do nowego życia. Tu dopiero, choćby na gruzach swego domostwa, odetchnął każdy po przyjemnościach ewakuacyi.

Tak postępowali wobec nas obcy, którzy wogóle nigdy się do nas nie odnosili ze zbytnią życzliwością, nazywali Galicyę *passives Land*, a ciągnęli z niej co się dało. Jakie zaś znaczenie miała ona dla zachodniej części Austryi, zwłaszcza zaś Wiednia, przekonano się dopiero po niewczasie, gdy rozgraniczyły nas losy. Wówczas tego jednak nie doceniano, a każdy Szwab lub Czech, dla którego brzuch jest jedynym celem życia, bał się, by go przypadkiem przybysze z Galicyi nie objedli. I stąd ta ich niechęć i wrogie usposobienie nawet wobec tych, którzy za wszystko dobrze płacili.

Stosunki te zmieniły się o tyle, że ci z ewakuowanych, którzy jeszcze zostali przy życiu, powrócili do kraju, na Zachodzie (głównie zaś we Wiedniu) osiedlili się neutralni obywatele, grawitujący stale w stronę Niemiec, a robiący tam bardzo dobre interesy. Niemcy patrzą na nich niezbyt łaskawem okiem, ze względu na konkurencyę handlową, jaką im robią i stale narzekają „na Polaków", mających tyle wspólnego z polskością, ile go ma kwadratura koła z wybuchem Wezuwiusza lub zeszłorocznym nieurodzajem ryżu w Chinach.

Tych zresztą „Polaków" nie mamy na myśli i narzekania na nich Niemców zupełnie sobie tłómaczymy, nie mogąc natomiast zrozumieć, czego właściwie żądali od Bogu ducha winnych naszych uchodźców...

To obcy ludzie! — mówiliśmy sobie wtedy — Oni nam zawsze stali i stoją na zdradzie!...

I chciał znowu nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że Galicyę wschodnią, która tyle już w ciągu tych lat wojny wycierpiała, zalały hordy czerwonej dziczy, a ludność miejscowa, uchodząc przed najazdem, schroniła się nie u obcych, lecz u swoich... Kraków, serce Polski, był dla wielu nieszczęśliwych uchodźców tą Mekką, do której dążyli, wyobrażając sobie, jakie ich tam czeka serdeczne przyjęcie, jako nieszczęśliwe ofiary wojny... A nie żądali nic, prócz tej odrobiny współczucia, której się nie odmawia nawet śmiertelnemu wrogowi, gdy jest w potrzebie.

Jakże się przecież przykro zawiedli!... Krakowianie zabawili się w Niemców i Czechów z roku 1914, dając im na każdym kroku do odczucia, że są tu intruzami, których należy się rychło pozbyć. Odmawiali im wszystkiego, nawet serdecznego słowa, a jeżeli się dało, to tak „po bratersku" zdzierali z nich skórę, że nie powstydziłby się tego i wróg zdeklarowany.

I któż tak postępował?... Ci sami, którzy tak oburzali się na nieludzkie traktowanie naszych uchodźców przez obcych!... Ewakuowani z Galicyi wschodniej, którzy nie przyszli tu z pewnością dla przyjemności, nie mają wprost słów uznania dla... staropolskiej gościnności i braterskiej życzliwości Krakowian!

Wstyd doprawdy przyznać się, że się jest Krakowianinem, słowo to stało się bowiem dziś synonimem nieużytego egoisty, myślącego tylko o swych własnych interesach. Pokazało się, że Kraków a Choceń to nie wielka różnica, że za każdą przysługę trzeba słono płacić i do tego jeszcze jest się narażonym na gburowate obejście „kochanych braci".

Gdyby Krakowianie ucierpieli byli w czasie wojny tyle, co ci biedacy, którzy tyle razy musieli uciekać ze swych sadyb i za każdym razem powracając, znajdowali je zniszczone i złupione, z pewnością mieliby więcej serca dla cierpiących nie ze swej winy. Nam jednak nie zalało się zbyt wiele wody za kołnierz. Jedyną większą przykrością wojenną była owa ewakuacya, która nas przecież jakoś rozumu nie nauczyła.

Smutne to, ale prawdziwe!... Narzekania uchodźców ze wschodniej Galicyi są zupełnie uzasadnione i miastu naszemu bynajmniej nie przynoszą zaszczytu. W bardzo dziwnem świetle przedstawia się „serce Polski", które widocznie także zamieniło się w „żołądek", obawiający się, by go przybysze nie objedli.

Skoro już kronikarz wszedł na temat tak niewyczerpany, jak wad krakowskiego społeczeństwa, będzie zupełnie na miejscu, jeśli wspomni i o „krakowskiej niewdzięczności".

Przed kilku laty ogłosiły dzienniki, że niejaki Edward Goldstein, który całe swe życie poświęcił służbie dla Ojczyzny, bił się o Jej wolność w r. 1863, potem na emigracyi pracował z myślą o Niej — ofiarował krakowskiemu Muzeum Narodowemu swe zbiory sztuki wschodniej, olbrzymiej wartości, żądając za to jedynie, aby go zamianowano kustoszem muzealnym i dano w ten sposób możność zapewnienia sobie bytu przez tych lat parę, jakie mu jeszcze do życia zostają. Majątku nigdy nie miał, cały zaś swój dorobek obrócił na zakupno dzieł sztuki, nie dla siebie, lecz dla kraju...

Światła nasza Rada miejska, pod której opieką zostaje Muzeum Narodowe, wahała się długo, czy przyjąć dar, oburzając się na „bezinteresowność" ofiarodawcy, żądającego za to posady z pensyą!... To coś niebywałego!... Przecież posady płatne są dla samych panów ojców miasta i ich dalszych i bliższych rodzin!... Nawet i część prasy krakowskiej była tego samego zdania co senatorowie z pałacu Wielopolskich, tyle się troszczący o kulturę i sztukę, ile miejski Zakład czyszczenia miasta o „zeszłoroczny śnieg", w którego uprzątnięciu wyręczyło go dobroczynne słońce.

Ostatecznie jednak jakoś tak się stało, że dar przyjęto, Goldsteina kustoszem mianowano, a nasi radcy miejscy dziwili się, jakie to oni mają dobre i litościwe serca... Za jakiś tam zbiór starych gratów, z których nikt nie będzie miał pożytku, dożywotnia pensya, którą mógłby pobierać jakiś krewniak... A kto wie, jak on długo pożyje?... Tacy ludzie lubią być długowieczni!...

I oto nadeszła wiadomość z Paryża, że ów pan Goldstein, który bawił od początku wojny nad Sekwaną, gdzie kompletował swe zbiory dla Muzeum Narodowego, zmarł prawie w nędzy w... przytułku św. Kazimierza, gdzie ongi zamknął oczy ś. p. Cypryan Norwid, również zapomniany przez polskie społeczeństwo.

S. p. Goldstein pobierał wprawdzie pensyę kustosza, ale była ona tak śmiesznie mała w obecnych warunkach, gdy korona i marka są prawie bez wartości, że literalnie cierpiał na obczyźnie ostatnią nędzę, a nie znalazł się nikt, kto pospieszyłby mu z pomocą. A do tego obowiązany był przedewszystkiem Kraków.

Teraz dopiero widzi się, jak hojnem było to uposażenie, wystarczające zaledwie na spędzenie ostatnich chwil zasłużonego żywota w... przytułku. Dla ewentualnych dobrodziejów, mających coś ofiarować „sercu Polski", perspektywa niezbyt ponętna. Z pewnością żaden z ojców miasta nie życzyłby takiego losu któremuś ze swoich protegowanych.

Na ś. p. Goldsteinie spełniło się, co jest zwykłem w naszem społeczeństwie, że ludzi zasłużonych dla ogółu spotyka uznanie dopiero po ich śmierci. I jemu poświęcono nekrologi, podnoszące jego zasługi, odprawiono nawet nabożeństwo za spokój jego duszy. Kraków jest zadowolony, że spełnił swój obowiązek.

Jakże dziwnie, wobec ś. p. Goldsteina, wyglądają ci „wielcy" z pośród żyjących, o których zasługach tyle się mówi i pisze, że sami gotowi uwierzyć, iż bez nich nie dalibyśmy sobie rady. A mamy ich obecnie tylu, iż, gdybyśmy im chcieli stawiać pomniki, możnaby nimi obstawić zamiast drzew całą drogę wzdłuż Parku Jordana, aż po samą Wolę Justowską. To jedno jest dobre, że Kraków zbyt się nie kwapi ze stawianiem pomników, czego dowodem choćby Kościuszko, nie mogący się doczekać wyjazdu na Rynek z koszar Straży ogniowej. Jagiełło był odeń szczęśliwszy, ale tylko dlatego, iż otrzymał go Kraków w prezencie.

Wdzięczność nie jest więc cnotą, która mogłaby być uważaną za ozdobę Krakowa, jego ojców i zwykłych mieszkańców. Na uznanie mogą jeszcze liczyć, ale tylko wybrani, i to pod warunkiem, aby to nic nie kosztowało.

I znów możnaby powtórzyć: „Smutne to, ale prawdziwe!...", byłyby to jednak dwa grzyby w barszcz, a wiadomo, że grzyby teraz są bardzo drogie, więc się nie powinno nimi szafować.

Powiadają, że po wojnie poprawią się stosunki a wtedy będą Krakowianie znowu tak poczciwymi ludźmi, jak byli nimi przed wojną. Kto dożyje, ten się może przekona, czy to prawda.

Z tem dożyciem będzie jednak kłopot, gdyż, jak już w poprzedniej kronice zaznaczono, warunki bytu stają się z dnia na dzień coraz cięższe. Ceny za najniezbędniejsze do życia artykuły dochodzą do takiej wysokości, że poprostu przyprawiają o zawrót głowy tego, kto je ma płacić. A i podatki rosną z każdym miesiącem, bo pan minister skarbu jest niewyczerpany w wynajdowaniu nowych źródeł dochodu, nie zastanawiając się przecież nad tem, skąd mają brać na to ci, którzy je mają płacić. A trzeba wiedzieć, że i u nas panuje ten sam zwyczaj, co w byłej Austryi, że podatki najbardziej dotykają tych, którzy mają najmniej. Nowy podatek dochodowy i majątkowy pomysłu pana Grabskiego jest tego wymownym dowodem.

Nasz pan minister skarbu nie ma szczęśliwej ręki, czego już dosyć dał dowodów. Tak było i z tytoniem, który szedł ciągle w górę, aż doprowadził do tego, trzeba było pomyśleć o oddanie go w wolny handel by się go módz pozbyć. Dzięki panu ministrowi bardzo wielu nałogowych palaczy odzwyczaiło się od palenia, gdyż przekonali się, że ich nie stać na sprawienie sobie tej przyjemności. Gdyby tak można się jeszcze odzwyczaić powoli od jedzenia, wszystko byłoby w porządku.

Żniwa wypadły bardzo pomyślnie, co jednak nie przeszkadza, że mąka drożeje. Magistrat normuje wprawdzie ceny pieczywa, ale z jego rozporządzenia niewiele sobie robią piekarze i handlarze i sprzedają naprzykład takie bułki, jakich sprzedawać nie wolno, ale zato każą sobie dopłacać do właściwej ceny i dodatek „za strach", iż postępują nielegalnie, oraz na pokrycie ewentualnej kary, jaką nałożonoby na nich, gdyby ich przekroczenie dojrzało czujne oko władzy, zwrócone zwykle w inną stronę, a nie tam, gdzie potrzeba.

A na samo wspomnienie zimy już się dziś człowiekowi zimno robi, choć się dopiero jesień zaczyna!... Cetnar węgli sto kilkadziesiąt marek!... To wydatek, na który może sobie pozwolić nie każdy, a z pewnością nie literat lub dziennikarz, który w zimie będzie się grzać chyba tem uczuciem, jakie tli w jego sercu i trzeba je tylko rozdmuchać.

Aby jednak módz dmuchać, trzeba mieć siły, a, aby je mieć, trzeba się należycie i regularnie odżywiać. My zaś żyjemy przeważnie tylko obietnicami, które zupełnie nie sycą. Przekonaliśmy się o tem z racyi darów amerykańskich dla inteligencyi głodnej.

Ubiegłej zimy było się o tyle w lepszem położeniu, iż musiało się palić w piecu bodaj w kuchni, aby módz obiad ugotować. Tam też koncentrowało się całe życie rodzinne. Obecnie wynalazł ktoś „Kooperatywy kuchenne", polegające na tem, że każda ulica będzie miała swoją wspólną kuchnię, gdzie się będzie gotować, zgasną więc ogniska domowe, a obiad dostanie się zupełnie zimny, jeżeli się mieszka trochę dalej. Jak dawniej dla sług z całej kamienicy była studnia w podwórzu kasynem, gdzie pod przewodnictwem stróżki zabawiano się miłą pogawędką, tak będzie znów owa wspólna kuchnia rodzajem kasyna dla pań.

Słowem, coraz gorzej i coraz ciężej, choć miało się wszystko poprawić! Czekamy cierpliwie, ale jakoś nie możemy się doczekać. Zresztą i cierpliwości może wkońcu zabraknąć... A wtedy?..

Wtedy... trzeba czekać dalej, ale już niecierpliwie!



Obrońcy Lwowa: Na okopach pod Lwowem.

Obrońcy Lwowa.

Dziś dopiero, gdy armia czerwona jest w zupełnym odwrocie i na galicyjskim odcinku czyli na południowym froncie, czytając w komunikatach sztabu jeneralnego, które miejscowości zostały odebrane nieprzyjacielowi, widzimy, w jakiem Lwów był niebezpieczeństwie. Czerwona armia już go prawie otoczyła, zapuszczając swe zagony nawet dalej na zachód, a równocześnie podniósł głowę Ukraińcy, wkraczając w granice Galicyi od strony czeskiej, dziś Ruś zakarpackiej. Dowódca tej hajdamackiej wataby dostał jednak rychło po skórze i powrócił rozbity, skąd przyszedł. — Dowódca jego, osławiony dr. Bekiesz, nie dopiął celu, choć sądził, że gdzie się dwu bije, tam trzeci korzysta. Dowiedział się, że *ten trzeci* może także przy tej sposobności coś oberwać.

Ale i Budiennemu, choć miał wyraźne polecenie Trockiego, nie spieszyło się zbyt z zajęciem Lwowa. Wiedział o tem, że pomimo swej liczebnej przewagi, będzie miał bardzo twardy orzech do zgryzienia. I miał racyę. Lwów na przyjęcie nieproszonych gości przygotował się bardzo sumiennie, okopał i „odrutował" najbliższe okolice miasta, a „lwowskie dzieci", jak popularnie nazywają się obrońcy-ochotnicy, czekali niecierpliwie i z zapałem na ich przybycie.

Batko Budi nyi sądził jednak, że najpierw trzeba opanować całą okolicę Lwowa, a gdy już zupełnie otoczy miasto, łatwiej je zdobyć. Był to plan nie głupi, ale jenerał nie przewidział tego, że w międzyczasie może być przerwany rosyjski front środkowy, a pod Warszawą pon osą bolszewicy zupełną klęskę. Ponieważ zaś tak się właśnie stało odstąpił od zamiaru dalszego pochodu ku zachodowi i okolicom Lwowa i zaczął się cofać w niełdzie na linii Równe Dubno, mając na karku naszą dzielną armię, trapiącą bez litości jego bandy.

A „lwowskie dzieci" czekają na przybycie gości w swych rowach i zasiekach i dożesć się ich nie mogą! Lwów zupełnie słusznie dumny jest ze swych obrońców „lwowskich dzieci", choć, jak sam przyznaje, rekrutują się oni ze wszystkich dzieci Polski.

Odwiedziny u nich opisuje korespondent *Słowa Polskiego* w sposób następujący:

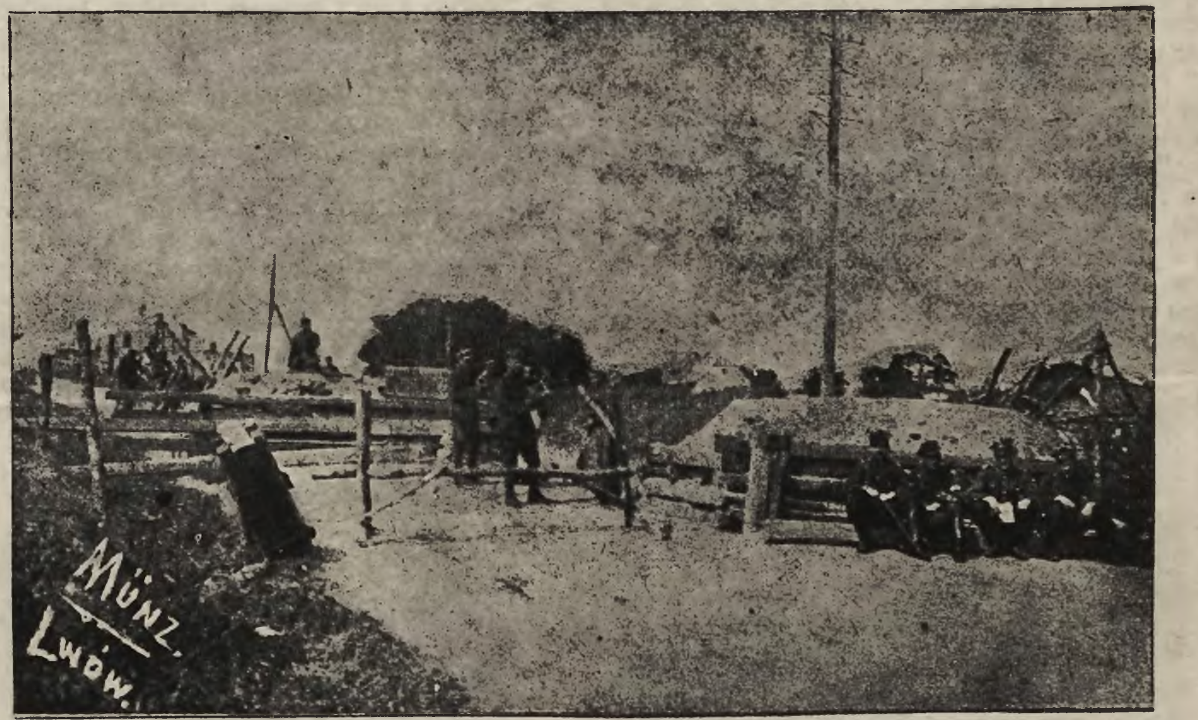
Wzorny obrońca Lwowa, pułkownik Jasieński, czuwa i woli być przygotowanym na wszelkie wojenne niespodzianki. Zajęci dział niami na froncie i żądni wiadomości o czynach naszych dzielnych żołnierzy, nie wiemy, że i ci pod samym Lwowem pełnią służbę ciężką a niewdzięczną, bo o ich pracy nie mówi się i nie pisze.

Dzięki up ze mości pułkown. Jasieńskiego, szefa jego sztabu majora Krzywoszyńskiego danem mi było zwiedzić część placówek, broniących Lwowa i podziwiać ogrom pracy, włożonej w umocnienie miasta, a widocznej nawet dla laika-dziennikarza.

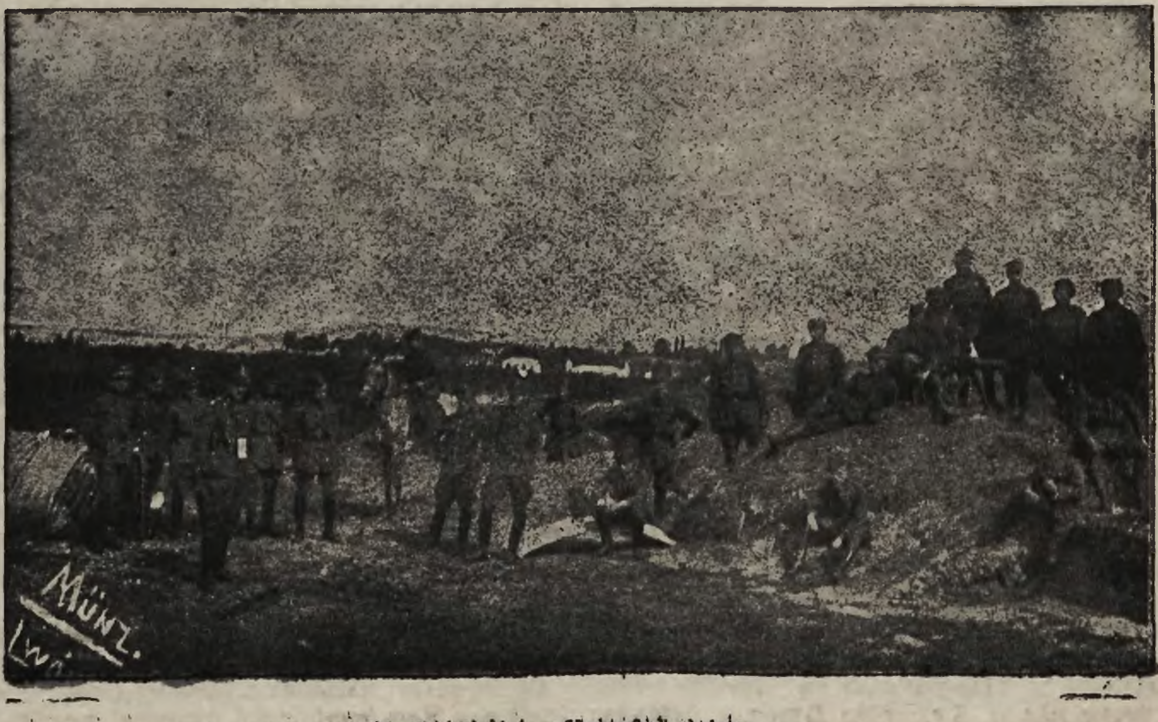
W towarzystwie majora Krzywoszyńskiego przybyliśmy do rogatki, skąd mieliśmy rozpocząć naszą wędrówkę. Oczekiwał nas Kapitan Kurka, którego batalion ma ustaloną wśród przełożonych opinię tak ze względu na dobór żołnierza jak zdolności dowódcy. Towarzyszy nam również młody, a widocznie zamiłowany w swoim fachu podpor. Gorgowicz i razem posuwamy się w drogę.

Jest cudny, ciepły dzień jesienny. Front oddalony, więc ciszy nie przerywa odgłos armat, do którego tak przywykły uszy Lwowianina i na razie ma się wrażenie, że to nie czasy wojenne, a my odbywamy sobie spacer, o tak, dla przyjemności. Nie uszliśmy kilkudziesięciu kroków, kiedy oczom naszym ukazują rowy strzelnicze i przykryta gałęźmi i liściem ziemianka, a przed majorem staje do wódca odcinka. „Panie majorze, melduję posłusznie..." Następuje wymienianie szarży meldującego, ilości żołnierzy itd. Powtarza się to przy każdym z odcinków, oddalonych od nas o kilkadziesiąt kroków. Żołnierz śmielszej natury wypowiada wszystko głosem równym i spokojnym, inny tak się śpieszy, aż mu tchu brakuje, a jeżeli major stoi i milczy jakby czekając dalszego ciągu, to widać, jak pracuje głową, aby coś jeszcze powiedzieć, w końcu jednak bezradnie dodaje „zresztą nic nowego". Nie wypowiada w meldowaniu tego, że i on i towarzyszego jego tkwią w tych rowach od tygodni, narażeni na deszcze, mgły i chłody nocy jesiennych, że może nieraz zazdroszczą tym, którzy poszli na front, bo tam jest ruch i rozmaitość, a śmierci, wiadomo, żołnierz się nie boi, chcćov dlatego, że nie myśli, a w jego właśnie do [illegible] kula nieprzyjacielska. T[illegible] żołnierz nie mówi w służbowym meldunku, który z siebie wyrzuca jednym tchem, stojąc wyprostowany jak struna. I nie potrzebuje mówić, bo z odnoszenia się do niego przełożonych widać, jak oni uznają tę ciężką pracę i jak utrzymując konieczny rygor, życzliwością i przyjaźnią darzą swoich podwładnych. Widać, że zgrane są z sobą, rozumieją jedni i drudzy swój obowiązek i po prostu kochają się szczerze. Na każdym odcinku oficerowie mają coś żołnierzowi do powiedzenia — temu oznajmią radośnie nowinę, że awans jego był już w rozkazie dziennym, tamtego pytają o zdrowie, lub wysłuchają jakichś życzeń — oglądają roboty bo żołnierze nie tylko czuwają, ale pracują ciągle nad umocnieniem swoich pozycyj. Pogłębiają rowy, wykonują nowe, zakładają druty kolczaste i ulepszają swoje ziemianki. Zima nadchodzi i nie wiadomo, jak długo im tu przyjdzie siedzieć. Są w batalionie ludzie z całej Polski. Więc i ci z [illegible] i z pod Krakowa, [illegible], a nie-

„Licząc wielu członków stowarzyszenie wojenne O. P. K (Onufry pakuj kufry) stałoby się o wiele mniej popularnem, gdyby ludziska wiedzieli, jak Lwów jest umocniony, odrutowany i osypany. Dziś front jest już od nas oddalony, jednak prze-



Obrońcy Lwowa: Kordon „Dzieci lwowskich" legitymujący udających się do miasta.



Obrońcy Lwowa: „Maszynka" czuwa . . .

mało i takich, ktorzy aż z Mińszczyzny przyszli bronić Lwowian. Ci są ogromnie narodowo uświadomieni — a jak Białystok został wzięty przez nasze wojska, cały wieczór śpiewali z radości Kochane chłopaki!



Obrońcy Lwowa: Dowódca batalionu „dzieci lwowskich" kapitan Kurka (X) ze sztabem.

Wędrówka nasza trwała kilka godzin, a ostatni jej etap stanowiła siedziba oddziałów rezerwowych, przy zwiedzaniu których towarzyszył nam dowódca kompanii por. Brzeziński.

Nowe meldunki, krótka rozmowa z żołnierzami i wyrazy zadowolenia ze strony szefa sztabu — zawarczało auto, trzeba było wracać do miasta.

Zawdzięczać należy ofiarności czytelników *Słowa Polskiego* że mogliśmy wszystkie odcinki obdzielić papierosami, złożonymi w naszej administracyi. Żołnierze przyjmowali je ze słowami podzięki i widać okrutnie byli zadowoleni, nie tym skromnym podarunkiem, który najwyżej skróci im długie godziny czuwania, ale świadomością, że się o nich



Głodówka irlandzkiego patryoty: Burmistrz miasta Cork Mr Mac Swiney.

pamiętał. Bo w każdym naszym żołnierzu czy on będzie z pod Warszawy, Krakowa lub Lwowa, Poznania czy Mińska, mieszka szczere, polskie serce pełne gorącej miłości Ojczyzny i zdolne odczuć pamięć tych wszystkich, którzy nie walczą. Nam za frontem nie wolno o tem zapominać ani na chwilę!"

Głodówka irlandzkiego patryoty.

Anglia, tak chętnie występująca w roli opiekunki „uciśnionych" mniejszości narodowych, zapomina stale o Irlandyi, jęczącej od lat pod jej brutalną przemocą. Zasada samostanowienia narodów o swym losie może być wszędzie indziej stosowaną, tylko nie tam, gdzie w grę wchodzą ludy, podległe berłom „zjednoczonego królestwa".

Brutalny stosunek zwycięzcy do zwyciężonego nie występuje nigdzie drastyczniej, jak właśnie w Irlandyi, gdzie angielska przemoc rada byłaby zdusić w zarodku każdy przejaw poczucia narodowego. Jest też Irlandya terenem ciągłych walk, które obie strony walczące kosztowały już tysiące ofiar.

Obecnie, gdy innym narodom dopomaga ta sama Anglia do zdobycia sobie samodzielnego bytu, odmawia go Irlandyi, występując wobec niej z coraz większą bezwzględnością co dało powód do jawnego wybuchu irlandzkiego powstania narodowego przeciw angielskim ciemięzcom. Polała się już krew, gdyż rząd angielski nie myśli ustąpić, a irlandzcy patryoci postanowili za każdą cenę postawić na swojem i zrzucić raz już znienawidzone pęta niewoli.

Ofiarą brutalnej bezwzględności Anglików padł między innymi burmistrz miasta Cork, Mac Swiney, znany działacz i patryota irlandzki. Aresztowany on został za to, że jakoby udzielił lokalu w ratuszu, oraz wziął udział w poufnem zebraniu dowódców armii rzeczypospolitej irlandzkiej.



Głodówka irlandzkiego patryoty: Dzieci irlandzkie modlące się o zdrowie swego narodowego bohatera.

Aresztowany złożył natychmiast protest przeciwko bezprawnemu, jak stwierdził, aresztowaniu; w całej Irlandyi odbyły się liczne wiece, na których domagano się oswobodzenia p. Swiney — lecz nie odniosło to żadnych skutków. Władze angielskie przewiozły p. Swiney do Londynu, osadzając w więzieniu w Brixton, oświadczając jednocześnie iż pod żadnym pozorem nie wypuszczą go przed całkowitem odsiedzeniem wyznaczonej mu kary.

Wówczas p. Swiney uciekł się do ostatecznego środka obrony, jakim dla więźnia politycznego jest — głodówka. Ogłosił, że dopóki nie wypuszczą go z więzienia, nie będzie przyjmował jedzenia. W odpowiedzi na to p. Bonar Law z trybuny parlamentu potwierdził raz jeszcze stanowczą decyzyę rządu angielskiego, od której nie odstąpi on nawet w razie śmierci głodowej p. Swiney.

Nie pomogły przedstawienia najwyżej postawionych osobistości, rząd angielski stawał się nieugięty, choć patryoci irlandzcy ogłosili, że w razie śmierci Swineya wymordują cały gabinet.

Głodówka ta trwa już miesiąc, widoczne są już objawy agonii, nie ma to przecież wpływu na ministrów angielskiej polityki, jak gdyby nie chcących wiedzieć i zrozumieć, że jego śmierć będzie tylko dolanie oliwy do ognia. Anglia zbyt jest pewną siebie, ale może się łatwo przerachować, w każdym zaś razie musi się spotkać z potępieniem całego cywilizowanego świata, którego dowody zbierał już Lloyd George w czasie swej podróży do Szwajcaryi.

Swiney jest dziś narodowym bohaterem Irlandyi, za jego zdrowie modlą się publicznie po kościołach, setki osób zgłasza się, chcąc zań odbyć resztę kary, a śmierć jego znajdzie z pewnością wielu nieustraszonych mścicieli!

Ameryka — dla Polski.

Ekonomiczne następstwa światowej wojny są wprost straszliwe dla niektórych krajów, a do nich należy przedewszystkiem Polska, przez którą tyle razy przewaliła się nieprzyjacielska nawała, niszcząc wszystko doszczętnie. Miliony morgów ziemi leżą odłogiem, gdyż brak rąk do ich uprawy, handel nasz i przemysł, który się dopiero zaczął rozwijać, zniszczony w zarodku. Samodzielność nasza pod kuratelą Koalicyi i przy granicach, jakie nam wyznaczono, zredukowana prawie do zera, co wszystko razem wziąwszy, przyczyniło się do takiego spadku naszej waluty, że w porównaniu za granicą nie ma ona poprostu żadnej wartości.

A że w tych stosunkach skazani jesteśmy na zaopatrywanie się w najniezbędniejsze artykuły za granicą, nic też dziwnego, że choć ratują nas na szczęście nasze surowe produkty, jak nafta, węgiel, drzewo i t. d. znaleźliśmy się w krytycznem położeniu ekonomicznem. I to tak cały kraj, jak i jego poszczególni mieszkańcy. A wojna toczy się u nas w dalszym ciągu i pogarsza stale i tak już opłakane położenie.

Wobec tego musieliśmy szukać pomocy za granicą i Bogu dzięki, znaleźliśmy ją, choć drogo za nią się płaci. Państwa koalicyjne i neutralne okazały nam dużo życzliwości, najwięcej przecież Stany

Zjednoczone Ameryki północnej, które śmiało rzec można, na wojnie pod każdym względem wyszły najlepiej, zdobywając sobie hegemonię światową nie tylko polityczną, ale i ekonomiczną. W tych warunkach nie trudno im spieszyć z pomocą potrzebującym, zwłaszcza, że na nie zapatrują się za stanowiska kupieckiego.

Ale i bezinteresownej pomocy udzieliła nam dosyć Ameryka i to nie tylko tamtejsza bardzo licznie reprezentowana Polonia, ale i rząd Stanów Zjednoczonych.

Amerykańskie misye „Czerwonego Krzyża" i „Stowarzyszenie Chrześcijańskiej młodzieży" (Y. M. C. A.) rozwinęły w naszym kraju tak owocną działalność i okazały tyle zajęcia się naszym losem, jak żadne inne z państw. Działalność ich obejmuje wojskowość i ludność cywilną zarówno zdrowymi i chorymi, wiele starań poświęcają zaś dzieciom, odczuwającym w pierwszym rzędzie skutki światowej wojny.



Ameryka — dla Polski: Dzieci obdarowane podarunkami amerykańskimi w jednej z lwowskich ochronek.

Amerykańska pomoc w tym kierunku jest tak wydatna, że bez niej poprostu nie dalibyśmy sobie rady, a nasze młode pokolenie byłoby skazane na śmierć głodową. Zaopatruje zatem amerykański „Czerwony Krzyż" nam dzieci w odpowiednie dla nich pożywienie (białą mąkę, mleko kondenzowane, cukier, kakao i t. d.), odzież, organizuje i wspiera ochronki, zakłada szpitale, słowem spieszy z troskliwą pomocą tam, gdzie jej najbardziej potrzeba, a dzieje się to tem sprawniej, że całą akcyą kierują jego wysłannicy przy pomocy miejscowych czynników, które przy samodzielnej pracy na tem polu, nie zawsze wywiązały się należycie ze swego zadania.

Akcya odżywiania dzieci objęła całą Polskę, miasta i wsi. Amerykanie docierają w najdalsze kresowe okolice, nie brak ich i na terenie wojennym.

Za to zrozumienie naszych potrzeb, za te starania i gorliwość za tyle poświęcenia i narażania się na grożące niebezpieczeństwo przy walce z epidemiami, należy się Ameryce serdeczna wdzięczność całego polskiego społeczeństwa. Kościuszko i Pułaski walczyli za jej niepodległość, ona o tem nie zapomniała i zrewanżowała się należycie i to w najkrytyczniejszej dla nas chwili.

Trafne rozwiązania naszej wielkiej szarady konkursowej

odpowiadające warunkom konkursu nadesłali w dalszym ciągu — pp.:

215 Kozłowski Henryk, Warszawa
216 Jaworzyński Tytus
217 Molicki Szymon, Tarnów
218 Goliński Jan, Radomyśl
219 Augustyn Marya, Łódź
220 Jasiński Klemens, Piotrków
221 Bajor Tomasz, Gorlice
222 Heilmann Karol, Sambor
223 Krzyżanowski Hieronim, Wadowice
224 Oszarski Leopold, Modlin
225 Gęślicki Wacław, Lublin
226 Zawada Michał, Ostrów
227 Łojowiecki Konrad, Sandomierz
228 Orth Karol, Tarnów
229 Swirski Juliusz, Ostrów
230 Tymiecki Konrad, Warszawa
231 Lewicki Aleksander, Lwów
232 Rogaliński Hipolit, Lwów
233 Wolski Michał, Janów
234 Olek Stanisław, Kocharów
235 Süssirgam Bronisław, Bochnia
236 Jasiński Franciszek, Tarnów
237 Pieroński Jan, Zakopane
238 Konrad Zdzisław, Lwów
239 Dąbski Eustachy, Częstochowa
240 Polak Marya, Kraków
241 Kijkowski Gabryel, Rakowice
242 Żebrowski Klementyn, Lwów
243 Ullman Stanisław, Brody
244 Lempicki Jan, Lwów
245 Polkowski Henryk, Warszawa
246 Orłowicz Zygmunt, Warszawa
247 Romański Hugo, Przemyśl
248 Koziński Jan, Lwów
249 Wirbel Seweryn, Lwów
250 Różycki Bolesław, Sambor
251 Markowski Antoni, Goniądz
252 Altenberg Karol, Oświęcim
253 Kowalik Maryan, Brody
254 Piwocki Stefan, Tarnów
255 Lipschütz Jakób, Stanisławów
256 Zoll Marya, Kraków
257 Iglicki Karol, Kraków
258 Rogożyński Leon, Stanisławów
259 Kunoys Wanda, Lwów
260 Berger Helena, Andrychów
261 Dankowski Samek, Warszawa
262 Brandtlawczak Leokadya, Łódź
263 Łoczewski Roman, Przeworsk
264 Pokorski, Kołomyja
265 Sadoski Jan, Biłgoraj
266 Reymann Michał, Jodłów.
267 Pitros Leon, Żuków
268 Hofer Józef, Kossów
269 Cieplik Henryk, Tarnopol
270 Pacyk Marya, Lwów
271 Gorczyński I. dyw. Legionów
272 Zabłocki Konrad, Warszawa
273 Krakoski Jan, Jasło
274 Korytowski Medard, Rzeszów
275 Wysłocki Henryk, Warszawa
276 Jabłoński Leon, Kraków
277 Nowak Klara, Wadowice
278 Łysica Stefan, Tarnów
279 Chwalba Marya, Warszawa
280 Mitasiński Józef, Rzeszów
281 Domańska Marya, Bałtów-Ponik
282 Ackerman Zygmunt, Lwów
283 Wołek Karolina, Krynica
284 Podobiński Karol, Piotrków
285 Sas Mieczysław, Kraków
286 Gruszecki Józef, Zborów
287 Ząbek Leon, Skierniewice
288 Schneider Henryk, Rymanów
289 Łabuda Leon, Sosnowiec
290 Ciechowski Zygmunt, Warszawa
291 Fajdrych Stanisław, p. pol. 28
292 Sowa Jan, Tarnów.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył J. Wieżyński, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko jednego z angielskich polityków:

```
    ■
  – ■ –
  – ■ –
  – ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Stan podobny do śmierci, 3. Tytuł turecki, 4 Rzeka w Afryce. 5. Rodzaj poezyi. 6. Część budynku, 7 Miasto w Czechach, 8. Znany bolszewik, 9. Polski minister 10 Miasto w Galicyi wschodniej, 11. Port angielski, 12. Wyspa na morzu Śródziemnem, 13. Rzeka w Polsce.

Grzebieniówka.

Ułożył J. Z, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko polskiego hetmana:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
–   –   –   –   –   –
–   –   –   –   –   –
–   –   –   –   –   –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Znany metal, 2. Część budynku, 3 Ptak domowy, 4 Imię męskie, 5. Wyżyna w Azyi, 6 Powieściopisarz francuski.

Okienko.

Ułożył R. Kotowicz, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a  a  a  e  e
e     e     g
g  m  m  n  n
n     o     r
r  s  s  n  u
```

Znaczenie wyrazów: 1. Jezioro w Rosyi, 2. Uroczystości ludowe w Krakowie, 3. Jeden z pierwiastków.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Jaworski, Lwów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą jeden z tematów dyskusyi politycznych:

— ok
— ko
— os
— da
— ąs
— ga
— oe
— wo
— li
— ór
— ej
— ak
— ąb
— an
— wa

REBUS.



Przysłowiówka.

Ułożył K. R., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - - a - o - - - ie - a - o - -, - - ie - - - ie - o - e - e.
2) - - - a - y - ie - u - ya - e - a - i.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J Jaworski, Lwów

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a. a, a, d,
d. e, i, i,
l, k, k, n,
n, w, w, y.
```

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Europie. 2. Postać biblijna. 3. Niefortunny pretendent do jednego z tronów bałkańskich, 4. Góry w Ameryce.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1 A. Gruszeckiego: „W c. k. urzędzie" (powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 36.

Logogryf: K. Don, Inn. Ufa, Kreta, barka, kreda, sanki, Wacek, syn, Sas, Ewa, rasek, koper, brama, Praga.

Okienko: Ilmen, Marat, Noteć.

Przysłowiówka: 1) Prawda w oczy kole, 2) Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Grzebieniówka: Kant. a, mila. l, Ebro, n Idzi, e, woda.

Trójkąt magiczny: Hamburg, August, Marat, Busk, Uri, Ra, G.

Kwadrat magiczny: Pola, ogar, lawa, Arab.

Zadanie do uzupełnienia: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpad .

Zgłoskówka: Pogrom bolszewików.

Zadanie na rozsypane litery: Gość w dom, Bóg w dom!

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: S. Garliński Sandomierz, K. Dębiński Jasło, M Ogibińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, . Szczudłowski Jarosław, L Gartner Rozwadów, S. Zakrzewski Sandomierz, J. Gross Bochnia, W Ruczyński Kraków. S. Nowack Lwów. M. Kotowicz Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, . Lipski Wiedeń, W. Lasocki Kraków. S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, S. owalski raków, K. Koźmiński Tarnów, M. Kuczyńska Warszawa, L. Bogucka Warszawa, M. Lewińska Stanisławów, S Hoffmann Kołomyja, J Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, J Bo zarski Lwów. M. Weryński arsz wa. E. Darowska Warszawa. J Orzechowski Stryj. J. ierzbicki iotrków. . Grzybowski raków S. Zajączkowski Rzeszów, M Cicho ka Sambor M amiński Zakopane, J Meyer Lwow, Tomas ewski Biała, M Jasińska Lwów. S Brodziński raków, Dro byc . M. Hanasiewicz Stanisław w. K. Grabski Jasło, H Unger Lwów, M sz iewicz Lwów, M. Nowak Warszawa K. Radziszewski Warszawa, H. aligórski Tarnów, J Nowak J. a inowski Poznań, W. Śmiszkiewicz M wka, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska ar zawa, M. Stachowicz Kraków, M. Ostr wska Lwow, S Rosenbaum Rzeszów, M. wiatkowska Warszawa, H. Maciejowski innica, J. Jastrzębski Lwów, J S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń' K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, J. Winter Biała' M. Gross adowice, S Bielecki rzemyśl, K. Ku harski Jasło' J. Nowacki Lublin, R. Cielicka Łódź, J Martynowicz Kielce.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) W. Lasocki Kraków książka), 2) J. Wierzbicki Piotrków (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.